

**nieod
wra
calnie**

nie od
BARTOSZ SZCZYGIELSKI
wra
cał nie

Copyright © Bartosz Szczygielski, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Marta Akuszewska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Magda Bloch

Zdjęcia na okładce: © Westend61 | Adobe Stock, Imgorthand | iStock

Zdjęcie autora: © Mikołaj Starzyński

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Książkę wydrukowano na papierze Creamy HiBulk 53 g/m² vol. 2,4
dostarczonym przez firmę **ZING** S.A.

ISBN 978-83-67815-48-2

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Dla Ady. Gdziekolwiek jesteś,
obyś była tam szczęśliwsza.

Sławek wyczuwał zapach pieczonego mięsa z kilkuset metrów.

Wiedział, że to prawdziwy dar. Zazwyczaj nie musiał korzystać ze swoich zdolności, ponieważ wszystko, czego potrzebował, znajdowało się nie dalej jak kilka kroków od niego. W lodówce leżały smakołyki, które jadał rzadko, ale tym bardziej doceniał ich smak. Matka groziła mu palcem, kiedy za bardzo się ekscytował, podczas gdy otwierała skarboniec z jedzeniem. Do spiżarni schowanej pod schodami, gdzie zawsze było ciemno i zimno, nie miał wstępu. Tam ukryto prawdziwe rarytasy. Suszona wołowina, kiełbasy i kabanosy. Szczelnie zapakowane i czekające na to, aż Sławek położy na nich swoje łapy. Na samą myśl o nich ciekła mu ślina. Trudno mu było nad tym zapanować, a tak naprawdę nawet nie starał się tego robić. Często myślał o jedzeniu. Teraz także, ale miał przed sobą coś o wiele bardziej zajmującego.

Wiewiórkę.

Stwór gapił się na niego z pogardą i zamiast trząść się ze strachu, grzebał paluchami w futrze na brzuchu. Sławek wrzeszczał na niego, wzywając go do walki, ale wróg nie reagował na zaczepki. Siedział bezpiecznie daleko poza jego zasięgiem. Obydwoje o tym wiedzieli, a cieszyło to tylko jedną stronę konfliktu.

Usiadł i zaczął gapić się na wiewiórkę, która nic sobie nie robiła z jego gróźb. Takiego dyshonoru nie mógł puścić płazem. Spiał mięśnie i przygotował się do skoku, ale poczuł nagłe szarpnięcie, które pokrzyżowało jego plany.

– Zostaw. – Jacek chwycił za obrozę i odciągnął psa spod drzewa. – Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie zaczepiał wiewiórek. Jesteś od nich ze sto razy większy.

Owczarek przez chwilę stawiał opór i nie spuszczał wzroku z rudego zwierzaka, ale po chwili znalazł w lesie coś innego, co go zainteresowało. Pomerdał ogonem i ruszył przed siebie, wyswobodziwszy się z uchwytu.

– Nie odbiegaj za daleko! – krzyknął za nim Jacek. – Chcę cię zobaczyć.

– Masz posłuch, nie ma co.

Agata położyła mu rękę na ramieniu i poklepała go tak, jak czasem pieściła Sławka leżącego razem z nimi na kanapie. Dobrze wiedział, że wilczur słucha tylko jej, i nie miało tutaj znaczenia, że to on go karmił, wyprowadzał czy czesał. Dla Sławka liczyła się tylko Agata, która przywiozła go ze schroniska zziębniętego i bez kawałka ucha. Jacka lubił, ale to ją kochał. Do tej pory nie wiedzieli, co się właściwie wydarzyło i dlaczego ewidentnie rasowy owczarek niemiecki wylądował w miejscu, skąd dla większości nie ma ucieczki.

Dla nich to nie miało wtedy znaczenia. Od razu czuli, że ten wystraszony, wychudzony maluch będzie ich i że zrobią wszystko, by w ich domu czuł się jak u siebie. Sławkowi nadal zdarzało się czegoś wystraszyć z niewiadomego dla nich powodu, ale mieszkali razem już ponad rok i z każdym dniem było coraz lepiej.

– Powinniśmy trzymać go na smyczy – odezwał się Jacek, nie odrywając wzroku od psa, który zboczył ze ścieżki i wbiegł między drzewa, by po paru sekundach wrócić z kawałkiem badyła w pysku. – Zaraz zeżre jakiegoś grzyba czy coś i trzeba będzie z nim jechać do weta. Ej, zostaw to!

– Spokojnie. To samo twierdziłeś ostatnio, a nic się nie stało.

– Mieliśmy szczęście. Mówiłem ci przecież, co przeczytałem. Ktoś zostawia kawałki mięsa z gwoździem w środku, żeby psy się pokaleczyły.

– Mówiłeś – przyznała z uśmiechem na ustach.

– Nie rusza cię to?

Przesunęła się tak, by stanąć przed Jackiem i na chwilę zasłonić mu widok Sławka grzebiącego w mokrej ziemi. Wiedziała, że gdy wróca, trzeba będzie go solidnie wyczyścić, zanim w ogóle przestąpią próg domu, ale teraz chciała, żeby chwilę się pobawił. Zapomniał już o patyku i, całe szczęście, o wiewiórce, która dalej siedziała na drzewie, bacznie ich obserwując.

Tylko w weekendy obydwójce mieli czas na to, by wychodzić z psem na dłuższe spacerunki, i Agata chciała wykorzystać go do maksimum. Nawet kosztem ryzyka, o którym wspominał jej mąż, a które ona uważała za mocno przesadzone.

- Ruszałoby, gdybyśmy mieszkali w Warszawie.
- To nie oznacza...
- Hej. - Złapała jego dłonie i mocno ścisnęła. - Nic mu nie będzie. Zastanów się. Mieszkamy na końcu świata, a nie wśród jakichś chorych ludzi. Nikomu nie przeszkadza kupa na trawniku, który i tak nie należy do nich. Daj mu trochę poszaleć.

- Dobra. - Westchnął. - Ale jak coś się stanie, to sama jedziesz z nim do weta.

- Już widzę, jak byś mi na to pozwolił.

Jacek prędzej dałby sobie uciąć palec i jego żona dobrze o tym wiedziała. Zdawał sobie sprawę, że czasem za bardzo się stresuje. To był jeden z powodów, dla których w ogóle zdecydowali się przygarnąć psa. Miał mu pomóc w odnalezieniu równowagi. Nie myśleli jeszcze o dzieciach i prawdopodobnie nigdy nie będą. Ani on, ani tym bardziej Agata nie mieli ochoty na zmienianie pieluch i wieczne niewyspanie. Wśród znajomych byli jedynymi, którzy nadal nie dorobili się potomstwa, więc na wszelkie spotkania zapraszani byli coraz rzadziej. Nie przeszkadzało im to. Chodzenie na domówki, gdzie główną atrakcją była Świnka Peppa, trudno nazwać dobrze spędzonym czasem. Zresztą boczek mieli w lodówce.

- Chodź, powoli zaczyna się robić ciemno. - Agata przesunęła się i ruszyła wzdłuż leśnej ścieżki. - Zaraz dojdziemy do tych nowych szeregowców, a tam już Sławka trzeba będzie wziąć na smycz. Nie wiadomo, kto się tam może kręcić.

Pokiwał głową, że się zgadza. Jacek może i był nadopiekuńczy w stosunku do psa, ale nie zamierzał zmieniać swojego podejścia. Był odpowiedzialny za Sławka, dla którego

razem z żoną byli całym światem, choć nie wiedział, czy on to faktycznie rozumie. Czasem patrzył na nich tak, jakby doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a czasem po prostu gryzł starego kaptia i ślinił się na podłogę w błogiej nieświadomości. Jacek zazdrościł mu tego, że nie musi martwić się rosnącą ratą kredytu, rachunkami i wiecznie zapowietrzonym kaloryferem w sypialni, bo żarcie i tak znajdzie w misce.

Zima zawsze wprowadzała go w stan melancholii. Tym bardziej teraz, kiedy jego praca wisiała na włosku, o czym jeszcze nie powiedział Agacie. Wolał jej nie martwić, póki faktycznie nie było ku temu powodu.

Całe szczęście, że ta pora roku już prawie się kończyła. Kalendarzowa wiosna czaiła się za rogiem, a Jacek już nie mógł się doczekać tego, by zrobiło się trochę cieplej. Ścisnął mocniej dłoń Agaty i uśmiechnął się do niej tak, jakby właśnie wychodzili z urzędu stanu cywilnego. Dalej nie wierzył w swoje szczęście. Powoli docierało do niego, że życie całkiem mu się udało.

– Czujesz to? – Agata zatrzymała się i zakryła nos dłonią. – Chryste, ludzie palą w domach chyba jakimiś pieluchami czy coś.

Chciał coś odpowiedzieć, bo sam poczuł smród, który z każdą sekundą przybierał na intensywności, ale nie mógł z siebie nic wydusić. Wystarczyło parę sekund, by Sławek zniknął mu z pola widzenia. Jacek puścił dłoń żony i zaczął się rozglądać po okolicy. Drzewa się przerzedziły, a od granicy lasu dzieliło ich może sto metrów. Widział już nawet zarys pierwszych budynków, ale nigdzie nie dostrzegł owczarka.

– Sławek! – wrzasnął. – Sławek! Wracaj!

– Cholera, gdzie go wzięło?

Z każdą chwilą, kiedy Jacek nie mógł zlokalizować Sławka, stawał się coraz bardziej podenerwowany. Wiedział, że nie powinien go puszczać samopas. Na dodatek smród stawał się coraz intensywniejszy, wręcz duszący.

Mężczyzna zboczył ze ścieżki i wszedł pomiędzy drzewa. Agata podążyła za nim i co chwilę nawoływała psa. On już przestał próbować. Wystarczyło przejść kilka metrów. Wiedział, gdzie znajdzie Sławka.

Dostrzegł go na skraju niewielkiej polany, gdzie pies po prostu siedział i w coś się wpatrywał. Jacek podszedł bliżej, wyciągnął z kieszeni kurtki smycz i od razu zaczepił ją o obrozę.

– Mógłbyś przychodzić, jak cię wołam? – powiedział, kucając przy Sławku i drapiąc go za uchem. – Martwiłimy się o ciebie.

– Dobra, przyznaję, że mi też napędziłeś teraz stracha – dodała Agata, stając obok nich. – Co tam znalazłeś, co? Jacek, co to jest, do cholery?

Mężczyzna wyprostował się i spojrzał na polanę.

– Poczekaj tutaj. – Oddał smycz żonie. – Zaraz wrócę.

Nie czekał na odpowiedź. Widział, że Agata przyciągnęła do siebie Sławka, tak by ten przypadkiem nie uciekł, i to mu wystarczyło. Owczarek nie zamierzał wchodzić na polanę, a tylko obserwował teren. Wyglądał na zaniepokojonego, co udzieliło się także Jackowi. Od najbliższych zabudowań, jeszcze niewykończonych szeregowców, dzieliło ich może dwieście, trzysta metrów. Mężczyzna spodziewał

się dzikiego wysypiska śmieci, ale przedziwna konstrukcja, którą miał przed sobą, nie przypominała niczego, co widział w swoim życiu. Na samym środku polany wbito w ziemię gruby i długi drewniany słup, a wokół niego ułożono stos gałęzi. Siegały wysokości półtora metra i tworzyły wokół pala okrąg o średnicy przynajmniej dwa razy większej. Część gałęzi dalej się tliła, ale większość wyglądała na takie, do których ogień w ogóle nie dotarł.

Ze środka wydobywał się dym.

Cuchnący, dławiący dym niósł ze sobą okropny smród przypalonego mięsa i czegoś, czego Jacek nie potrafił zdefiniować. Owczarek musiał wyczuć zapach dużo wcześniej od nich i dlatego ich tutaj przyprowadził.

W tej chwili po raz pierwszy Jacek zaczął żałować, że Sławek z nimi zamieszkał. Inaczej sam nie spacerowałby teraz po lesie i nie spoglądał na coś, co kojarzyło mu się tylko z jednym.

Stosem dla czarownic.

Im bliżej niego się znajdował, tym ostrożniej stawiał kroki. Przeczuwał, że nie znajdzie pomiędzy tłącymi się gałęziami niczego dobrego. Stojąc kilka metrów od stosu, musiał zasłonić nos, by nie zwrócić obiadu. Zmrużył oczy, które same z siebie zaczęły łzawić.

Jacek obejrzał się w stronę Agaty. Dalej stała na skraju polany i nerwowo głaskała owczarka.

- Dzwon na policję! - krzyknął. - Trzeba to zgłosić.
- Już jadą - odpowiedziała i machnęła ręką. - Za-raz będą.

Jacek spojrział we wskazanym przez żonę kierunku i faktycznie dostrzegł niebieskie światła między drzewami. Powoli docierał do niego też dźwięk syren, ale był już tak blisko znaleziska, że ciekawość zwyciężyła. Wiedział, że będzie tego żałować.

Spojrzał na stos, a następnie schylił się, by wyciągnąć jedną z gałęzi. Złapał za najgrubszą, jaką udało mu się znaleźć, i stanął na skraju kręgu. Ostrożnie zaczął odgarniać patyki z samego wierzchu. Zdawało mu się, że widział coś pod nimi. Kształt, którego nie powinno tam być.

Musiał wstrzymać oddech, odrzucając na bok nadpalone gałęzie i odsłaniając poczerwiałe ciało.

Kobieta nie miała już włosów. Nie dostrzegał też śladów skóry, a jedynie czarną skorupę pokrywającą czaszkę, szyję i ramiona. Ten widok będzie mu się śnił do końca życia. Nigdy też nie zapomni tego zapachu. Smrodu spalonych włosów wymieszanego z przypalonym tłuszczem. Chciał odwrócić się i odejść, zanim pojawi się policja, kiedy stos gałęzi zaczął się osuwać, a spod niego – wydobywać ciche westchnięcia. Zastygł w bezruchu i wpatrywał się w jedyny jasny punkt, jaki dostrzegął na ciele kobiety.

Jej otwarte oczy.

Adam

Piekły go powieki.

Zaciskał je najmocniej, jak potrafił, ale nic to nie dawało. Niezależnie od tego, jak mocno by próbował, zawsze kończyło się tak samo. Raz obudzony, nie potrafił ponownie zasnąć. Nawet wtedy, kiedy miał urlop i mógł wylegiwać się w pościeli do południa.

Adam odwrócił głowę i spojrzał na zegarek stojący obok łóżka. Ledwo potrafił znaleźć go wśród leżących tam rzeczy. Stolik nocny zagracony był książkami, których nie miał czasu czytać, a tylko dokładał kolejne. Do tego dwie na wpół pełne szklanki z wodą, smartfon, pudełko chusteczek i jakiś notatnik, który nie należał do niego, tylko do żony. Justyna często zostawiała swoje rzeczy w różnych częściach mieszkania, tłumacząc mu, że ma swój system i żeby lepiej nic nie ruszał, inaczej się pogubi.

Słuchał żony i nie zamierzał bruździć w jej systemie.

Teraz wpatrywał się w zegarek, który pokazywał na cyfrowym wyświetlaczu „07.58 AM”. Chwilę mu zajęło, zanim zrozumiał, co jest tam napisane. Mieszkał w Anglii od

prawie dziesięciu lat, ale dalej do niektórych rzeczy nie potrafił się przyzwyczaić. Zapewne łatwiej byłoby wtedy, gdyby stale nie obracał się wśród Polaków, którzy urządzili sobie swoją małą ojczyznę tysiące kilometrów od tej prawdziwej. Wszyscy tutaj udawali, że są w domu. Lepszym, czystszy i bogatszym, a jedyne, co odróżniało go od tego prawdziwego, to jeżdżenie po złej stronie ulicy. Czasem trzeba było też rozmawiać po angielsku, ale Adam miał w pracy ludzi, którzy nie potrafili wykrztusić z siebie żadnego słowa w tym języku, a spędzili w Anglii dwadzieścia lat. I choć część z nich miała dwa razy mniej zębów niż on, to uśmiechali się dwa razy częściej.

Powinien przestać tyle myśleć i analizować, a skupić się na tu i teraz. Wyczytał taką poradę na jednym z opakowań płatków, które jadała jego żona. Podobnych złotych myśli mieli w domu więcej, część z nich wisiała nawet na ścianach. Dawały chwilowego kopa, ale równie szybko można było o nich zapomnieć.

Zrzucił z siebie kołdrę i niechętnie usiadł na skraju łóżka. Skoro i tak już nie zaśnie, to może zająć się czymś pożytecznym. Wstał i podszedł do stojącego w rogu sypialni krzesła, by ściągnąć z góry leżących tam ubrań swój szlafrok. Przywiózł go jeszcze z Polski i dalej pachniał tak, jak wtedy. Papierosowym dymem, wiśniówką i złymi decyzjami. Brakowało mu studenckiej beztroski i czasu, kiedy największym problemem była sesja, a nie fakt, że musiał wstawać do łazienki w środku nocy przynajmniej dwa razy. Powinien pójść w końcu do lekarza na jakiś ogólny przegląd, ale odwlekał to już tak długo, że kolejne kilka dni go nie

zbawi. Może nawet tygodni. Miał raptem czterdzieści lat, więc powinien być zdrowy.

Ignorowanie problemów było jego mocną stroną.

Opatulił się szczerzej szlafrokiem i zszedł do kuchni. Justyna zdążyła już zjeść śniadanie, którego resztki widział w komorze zlewu. Zalał miskę z niedojedzonym musli, a potem włączył ekspres i zrobił sobie kawę. Zapach zmielonych ziaren przyjemnie poślaskotał go w nos, a kiedy wziął pierwszy łyk, od razu poczuł się lepiej. Nie nabrał może natychmiastowej mocy do działania, ale przynajmniej nie miał już ochoty nikogo zamordować.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Wynajmowali z Justyną niewielki segment w Rushden i mało już im brakowało do tego, by zostać jego właścicielami. Mieli szczęście, że od początku sprawy najmu załatwiali bezpośrednio z właścicielką, a nie przez agencję. Inaczej do końca życia musieliby tułać się od jednego miejsca do drugiego. Uzyskawszy już status rezydenta, mogli w końcu ruszyć naprzód. Zdążyli odłożyć sporą część potrzebną do wykupu, ale Adam nie chciał pozbywać się wszystkich oszczędności ani tym bardziej brać pożyczki. Przez lata odkładał każdego funta, by zrealizować swoje marzenie. Niewiele dzieliło ich od celu; w końcu będą na swoim.

Zobaczył, że Justyna wraca ze sklepu. Chciał jej nawet pomachać, ale zanim zdążył to zrobić, usłyszał trzask drzwi.

– Już wstałeś? – powiedziała, wchodząc do kuchni i stawiając na stole siatkę z zakupami. – Sądziłam, że sobie trochę pośpisz.

– Próbowałem, no ale jak widać.

Odstawił kubek na blat i podszedł do Justyny. Pocałował ją w policzek i poczuł, jak gorącą ma skórę. Pachniała świeżym pieczywem i brzoskwiniami. Uwielbiał zapach jej mydła, balsamu czy czegokolwiek, czym się tam smarowała. W łazience stało tyle różnego rodzaju butelek, że mogliby otworzyć własne Superdrug, gdyby tylko chcieli i mieli czas. Raz zapytał, ile to wszystko kosztowało, i to wystarczyło, by nie robił tego nigdy więcej. Justyna nie pytała za to, ile Adam wydaje na modele samolotów, które sklejał wieczorami i podwieszał później pod sufitem na strychu. Niektórych rzeczy w małżeństwie lepiej nie mówić na głos.

- Kupiłam chleb, powinno starczyć na kilka dni, ale będziesz musiał sobie dokupić.

- Nie mam pięciu lat – zaśmiał się. – Nie umrę z głodu i wiem, gdzie jest piekarnia.

- Ostatnio też tak mówiłeś, a przez tydzień żarłeś lasagne z mikrofali.

- Były w niej warzywa – odparł. – A to prawie jak sałatka.

Justyna ściągnęła kurtkę i powiesiła na oparciu krzesła. Pod spodem miała bluzę dresową, której przydałaby się wizyta w pralce, i spodnie, którym nawet to już by nie pomogło odzyskać dawnego blasku.

- Jakie to warzywa masz w lasagne, co?

- No... pomidory?

- Raczej tonę sera, tłuszczu i mięcha, które pewnie znaleźli na śmietniku – zaczęła się z niego nabijać. – Przecież to żarcie kosztuje funciaka, więc nie ma prawa być zdrowe. Jak nie zaczniesz o siebie dbać, to skończysz na cmentarzu, a jesteś mi jeszcze potrzebny.

- Wiadomo, śmieci się same nie wyniosą.
- I tak ich nie wynosisz – odparła, wychodząc z kuchni. – Zobaczysz, któregoś dnia się z tobą rozwiodę i zabiorę połowę majątku.

Adam chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale Justyna była już daleko poza jego zasięgiem. Wynajmowany przez nich szeregowiec doskonale tłumił dźwięki, choć i tak często słyszeli sąsiadów, którzy z okazji weekendu potrafili świętować do samego rana. Nie przeszkadzało mu to, a przynajmniej nie do tego stopnia, by zrezygnować z planów zakupu domu. Gotów był na wiele kompromisów. Zbyt długo żył na oparach, żeby na ostatniej prostej gonić za kolejnym marzeniem i szukać czegoś, na co i tak nie miał wpływu – jak cisi sąsiedzi czy pracownicy komunalni, którzy nie zostawiają mu bałaganu, wywożąc śmieci.

Stanął przy stole i przejrzał przyniesione przez Justynę zakupy. Standardowy zestaw survivalowy na czas, kiedy jego żona wyjeżdżała. Nie robiła tego zbyt często. Zazwyczaj wybywali gdzieś razem, choć nie mógł sobie teraz przypomnieć, kiedy zrobili to ostatni raz. Najpierw obydwójce zażynali się w pracy, a kiedy liczyli na chwilę oddechu, przyszła pandemia, potem zaś musieli zacząć od nowa, by utrzymać się na powierzchni. Całe życie w kołowrotku, pomyślał, wypakowując chleb i jajka. Kiedy skończył, złapał za kurtkę wiszącą na oparciu krzesła i przeszedł z nią do korytarza. Odwieszając ją na wieszak, zauważył, że w kieszeni czekają listy.

- Jest coś do mnie? – powiedział na tyle głośno, by Justyna usłyszała go, będąc na piętrze.
- Sprawdź, nie patrzyłam jeszcze.

Spodziewał się podobnej odpowiedzi. Nie przepadał za listami, które adresowano bezpośrednio do niego. Zwyczaj oznaczały kłopoty i pochodziły z urzędów, a on nie chciał się stresować zaraz na początku urlopu. Przejrzał na szybko korespondencję i oprócz kilku rachunków, których i tak się spodziewał, jego uwagę przykuła zwykła koperta. List przyszedł z Polski, a nazwisko nadawcy napisano tak niewyraźnie, że nie potrafił go rozszyfrować. W przeciwieństwie do jego, które zostało pięknie wykaligrafowane.

Wrócił do kuchni i usiadł przy stole. Trzymał kopertę pomiędzy palcami i zastanawiał się, czy to aby nie pomyłka. W Polsce nie zostawił nikogo, a już na pewno nikogo, kto chciałby pisać do niego tradycyjny list. Nie dostał takiego, odkąd wyjechał, i wcale mu tego nie brakowało. Powinien wrzucić list do niszcarki.

Z zamyślenia wyrwało go głośnie stukanie.

– Pamiętasz, że masz mnie zawieźć na Luton?

Justyna wtoczyła walizkę do kuchni i z trudem ustawiła ją pod piecykiem. Patrząc na to, jak jego żona męczy się z jej przenoszeniem, Adam założył, że ważyła ze trzydzieści kilo, czyli połowę tego, co ona. Nieustannie go zaskakiwała, choć czasem miał ochotę zwrócić jej uwagę na niektóre kwestie, którymi sama się nie przejmowała. Przynajmniej raz w tygodniu wyciągał z odpływu w wannie kłęb mokrych włosów przypominający martwą wydrę i ważący dobre kilka kilo. Może trochę przesadzał w tej ocenie, ale gdyby on tracił tyle włosów co Justyna, już dawno byłby łysy. Całe szczęście ominęła go ruletka genetyczna i dalej miał na głowie wystarczająco, by nie korzystać z zaczeski. Czas obszedł się z nim

łagodnie. Adam lekko posiwiiał, ale uważał, że to akurat dobrze. Wyglądał poważniej, co przydawało się w interesach.

– Zostawiasz mnie? – spytał, oceniając rozmiary bagażu. – Nie sądzisz, że to trochę za dużo?

– Lecę na prawie dwa tygodnie – przypomniała mu. – Przecież nie będę chodziła cały czas w tym samym.

– Wiesz, że w Polsce mają już pralki, co nie? Dużo się zmieniło, odkąd wyjechaliśmy.

– Zabawne.

Nie zaśmiała się, co wcale Adama nie zdziwiło. Kiedy Justyna miała zajęcie lub jasno sprecyzowany plan działania, nic nie mogło wytrącić jej z równowagi. Próbował od blisko piętnastu lat i dalej mu się to nie udawało.

– Bądź tak miły i idź się ubierz – poprosiła, zaglądając do lodówki. – Dobrze byłoby, jakbyś się też wykapał. Czuję cię z daleka.

Zatrzasnęła lodówkę.

– I kup masło, jak będziesz robił zakupy, bo zapomniałam.

– Romantycznie. Na lotnisko mamy niecałą godzinę. O której masz ten lot?

– Chwilę po piętnastej – powiedziała, ciężko wzdychając. – Mówiłam ci wczoraj.

– No to mamy jeszcze od cholery czasu.

– Mieliśmy do firmy zajechać – przypomniała. – Idź już, bo serio zaczynasz mnie denerwować.

Dłuższe przeciąganie nie miało sensu. Adam złapał za listy i przeszedł do korytarza. Odłożył rachunki na stos korespondencji, gdzie najwięcej było ulotek z pobliskich

knajp oferujących dowóz, ale nie potrafił odłożyć przesyłki od tajemniczego nadawcy. Wpatrywał się w kopertę, a potem razem z nią przeszedł do łazienki na parterze. Niewielkie pomieszczenie, gdzie wciśnięto prysznic z toaletą oraz umywalką, stanowiło jego królestwo. Zamknął za sobą drzwi i stanął przed lustrem. Faktycznie wyglądał na brudnego. Dwudniowy zarost nie dodawał mu uroku, a sprawiał wręcz, że zaczynał przypominać lumpa, któremu do szczęścia brakuje tylko wódki, papierosów i zastrzyku przeciwtężcowego.

Zamierzał się ogolić, ale najpierw postanowił zaspokoić ciekawość. Rozerwał ostrożnie kopertę i wyciągnął z niej pojedynczą kartkę. Nie od razu poznał, kto do niego pisał.

– Kurwa...

Usłyszał odgłos kroków na korytarzu, a po paru sekundach pukanie do drzwi łazienki.

– Wszystko w porządku?

Adam nie wiedział, co odpowiedzieć. Na pewno nie było w porządku, choć trudno było mu zdefiniować to, co czuł. Kilka sekund nie oddychał, a jego ciało zrobiło się gorące. Przeszłość upomniała się o niego w najgorszy z możliwych sposobów, nie zostawiając mu żadnego pola do manewru. Wpatrywał się w zapisaną kartkę i czytał ją raz za razem, licząc, że w końcu zrozumie, co się wydarzyło.

Justyna nie czekała dłużej na jego odpowiedź. Po prostu weszła do łazienki i stanęła mu za plecami.

– Adam, co jest? – spytała, zaglądając mu przez ramię. – Co to?

– Dostałem list – wydukał. – Od kogoś, kogo nie widziałem od lat.

– No, to chyba miło.

Odsunęła się i oparła o framugę drzwi. Wewnątrz łazienki nawet jedna osoba nie mogła czuć się komfortowo, a co dopiero mówić o parze.

– Muszę... Muszę odłożyć to malowanie, co miałem teraz robić.

– Co? Niby dlaczego?

– Mój przyjaciel nie żyje – powiedział cicho.

Justyna wstrzymała na chwilę oddech. Zachowywała się czasami tak samo jak on. Przez tyle lat wspólnego życia przeszli przez wiele, ale do tej pory udało im się omijać pogrzeby, jeśli nie liczyć jakichś ciotek, których i tak żadne z nich nie znało lub nie lubiło. Śmierć kogoś w ich wieku była szokiem i znakiem, że są tak samo narażeni na niebezpieczeństwo jak wszyscy inni. Adam zdawał sobie sprawę, że nie jest nieśmiertelny, postanowił jednak odłożyć myślenie o tym na bliżej nieokreśloną przyszłość. Teraz zaczął się zastanawiać, czy taką w ogóle ma.

– Nawet... Przykro mi. Nie wiem, co powiedzieć.

– Ja też – uspokoił ją. – Zawiozę cię na lotnisko i od razu załatwię bilet dla siebie.

– Pewnie. – Podeszła i go przytuliła. – Mogę coś zrobić?

– Nie, chyba nie.

Dalej to do niego nie docierało. Wiadomość pojawiła się tak nagle i niespodziewanie, że zaczął się zastanawiać, czy to nie sen.

– Co się stało? – spytała, odsuwając się, ale dalej trzymając ręce na jego ciele. – Wypadek? Choroba?

– Zabił się. – Prychnął. – I sam mi o tym napisał.